





Polska — żywymi oczami \*

# Pożywienie, odzież, opał



Bezdomny chłopiec

Została w Warszawie, Lwowie, Krakowie, w małym miasteczku polskim i na wsi — kobieta, która musi na dom zarobić, matka, która pragnie dzieci wychować. Więc to co najtrudniejsze: wyżywić i ubrać.

Na kartki Niemcy dają chleb, ziemniaki, marmeladę, mydło, proszek do prania. Tłuszcz uznano za najzupełniej niepotrzebny. Przez cały czas wojny nie dali go ani razu. Mięso, cukier, mąka zjawiają się dwa trzy razy do roku przed świętami po 10 dk. na osobę.

Chleb wojenny w Polsce jest czarny jak ziemia, lepki jak glina. Lgnie do noża przy krajaniu, oblepia zęby, cięży w żołądku przydziałowej godziny do jedzenia. Jest w nim dużo rozmaitych składników: lubin, kasztany, trociny, najmniej mąki. Mąkę do wypieku przydziałowego chleba Niemcy wydają wtedy, gdy zaczyna się psuć w magazynach wojskowych. Trzeba wtedy rozbijać twarde, mokre grudy, mleć po wysuszeniu raz jeszcze.

W pierwszym okresie wojny trudno było z tego materiału wypiec coś choćby podobnego do chleba. Na ladach t.zw. sklepów przydziałowych leżały płaskie, ciężkie placki, spékane z wierzchu, lekkie i wilgotne w środku. Troskliwi niemieccy dobrodzieje sprowadzili z *Vaterlandu* fachowców do namiastek, którzy mieli nauczyć naszych piekarzy wypieku.

Chleb ten czarny i ciężkostrawny jest i tak w wielu domach podstawą wyżywienia. Brak go zresztą wiecznie, przydział wynosi 15 dk. dziennie dla dorosłych, 10 dk. dla dzieci.

Ziemniaków dają więcej, racja waha się w zależności od urodzaju. Stosunkowo wysoka norma tłumaczy się trudnościami transportu. Nie brak zresztą szyszan, które obniżają wartość przydziału. Ogłoszenie zjawia się w ostatniej chwili, kartofle trzymane miesiącami na ziemie gniją, długie ogonki ludzi z workami na plecach, z wózkami ręcznymi czekają godzinami na wydanie. Po przebraniu zostaje zwykle połowa przydziału.

Z reszty kartkowych skarbów: marmelada jest rzadką buraczaną mazią z sacharyną, proszek do prania — sodą. Bure cegielki mydła, czasem lepkie i miękkie, czasem szorstkie, trące ostro jak piasek, nadają się najwyżej do umycia rąk.

\* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych" druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13, "Z Niemcami pod jednym dachem" druk. w nr. 14-15, "Humor w dniach grozy" druk. w nr. 17, "Wsi spokojna, wsi wesoła..." druk. w nr. 22 "Polski Walczącej" z b.r.

dno ją dostać. Dzieci zwłaszcza tęsknią za słodyczami zupełnie dziś niedostępnymi.

Przy dużych dochodach można wszystko dostać w pasku, zwłaszcza w Warszawie. Ale tylko wyjątkowo przez los uprzywilejowani mogą wydać 200 zł. na kg. masła, 140 zł. na kg. cukru, 35 zł. na kg. starej nędznej wołowiny. Jajko kosztuje 7 zł., litr mleka 12 zł. Na chleb, mąkę i kaszę każdy już musi się zdobyć. I tu ceny są wysokie — około 20 zł. za kg.

Mimo to ludzie na ogół nie głodują. Zamożniejsi pomagają biedniejszym, wieś ratuje miasto. Oczywiście bywają rozpaczliwe przednówki na wsiach, tyfus głodowy w mieście. Polska nawet obrabowana przez okupanta, będąc w przewadze krajem rolniczym, zawsze jeszcze zdola wyżywić swą ludność. Każdy skraweczek ogródka, nawet place miejskie zużytkowano pod jarzyny, żyto, kartofle. Każdy zarobiony grosz idzie na jedzenie. Wszyscy mają świadomość, że co dziś zjedzone, tego nikt nie odbierze, i że każdy posiłek może być ostatni.

Poza brakami w produktach żywnościowych, trzeba się obywać bez wielu innych rzeczy trudnych do zastąpienia w gospodarstwie. Najdokuczliwszy i może najniebezpieczniejszy jest brak mydła. W pierwszych latach wojny prawie każda kobieta wyrabiała sama mydło do prania. Dla niektórych rodzin wyrób mydła stał się głównym źródłem dochodu. Podawano sobie wzajem recepty, mydło domowe stawało się coraz lepsze. Redukowano zbyt wielki w początkach procent wody, zaczęto wyrabiać nawet pachnące i barwione mydło toaletowe. Niestety w ślad za innymi tłuszczami zniknął również i łój, tak że i mydło domowe gwałtownie skoczyło w cenę i dla wielu stało się niedostępne.

Nie można zupełnie dostać gumy, igieł, nici, sznurka /poza papierowym/, papier jest racjonowany i to w bardzo skąpych ilościach nawet dla biur niemieckich.

Jedną z najczarniejszych stron życia okupacyjnego jest brak opału. Warszawa zimą po zimie spędzała w nieopalanonych mieszkaniach, ceny węgla były zupełnie niewspółmierne z przeciętnymi zarobkami. Tona węgla kosztowała około 2.000 zł., zresztą uniemożliwiali dowóz trudności transportowe. Kraków położony blisko Zagłębia był w lepszej sytuacji. Węgiel kosztował 400 zł., 600 zł. za tonę. Na ogół można było się zapatrzeć, w skromnych oczywiście ilościach, przez firmę, w której się pracowało.

Pierwsze lata ludzie ratowali się piecykami elektrycznymi. Jednak już w trzecim roku wojny Niemcy wyznaczyli kontyngent zużycia elektryczności i gazu. Mimo niskich wymiarów /na dwa pokoje z kuchnią można było użyć 13 kilowatów miesięcznie/ piecyki dalej grały — zwłaszcza w Warszawie, kuchnie gazowe umożliwiały gotowanie. Niemcy zestawiali obliczenia zadowoleni ze swej oszczędnej polityki i dopiero, gdy gazownia i elektrownia warszawska w dwa miesiące wyczer-

Para starców pozbawionych ogniska domowego



Przebijanie zgnitego zapasu grochu

pały zapas koksu przeznaczony na rok — zorientowali się, że coś jest nie w porządku.

Uderzono tym razem dokuczliwiej: gaz i elektryczność włączano tylko na dwie, trzy godziny, a niektóre dzielnice, po parę miesięcy musiwały w ogóle obywać się bez światła... Do mieszkań warszawskich przywędrowała teraz "koza" mała, dwufajerkowa kuchonka żelazna. "Kozą" używa bardzo mało opału, można na niej gotować obiad nawet na igliwiu. Zato kopci niemiłosiernie i nadaje mieszkaniu piętno biedy, przed którą bronią się wszyscy uparci i raczej skutecznie.

Przyodziasz rodzinę w warunkach okupacyjnych trudniej czasem niż wyżywić. Piątą rok wojny, dzieci, którym kilka lat temu wystarczało byle co — dziś muszą mieć buty, ubrania, płaszcze. Z bąków, którym można było przerobić starą matczyną sukienkę powyrastali młodzieńcy i panny...

Kartek odzieżowych dla ludności polskiej nie ma zupełnie — nie widzieliśmy również nigdy kartek na obuwie. Przed wprowadzeniem racjonowania ludzie wykupywali w sklepach, co mogli, robiąc zapasy. Tylko że w czasie, gdy zapasy jeszcze można było robić — nikt nie miał pieniędzy.

Z braku przydziałów trzeba kupować w pasku. A ceny rosną z dnia na dzień. Przed rokiem za damskie buciki płaciło się 800 zł., za metr materiału wełnianego na ubranie męskie 4.000 zł. Pończochy można było dostać za 300 zł., metr lichutkiego perkaliku za 120 zł.

To też zmieniła się moda i dużo trzeba pomysłowości, żeby się nie tyle ubrać, ile przyodziasz. Pruje się i przerabia wszystkie możliwe stare rzeczy. Dumania nad otwartą szafą z przedwojennymi ubraniami zastępują dawne niewieście

grzebanie w rozrzuconych na ladach sklepowych balach jedwabiu i wełny. Pozostawione przez nieobecnych mężów ubrania przerabia się na kostiumy damskie, z podszewki można mieć piękną bluzkę jedwabną. Syn chodzi w przydużych czasach butach ojca, w jego codziennych ubraniach. Bo te najlepsze czyszczone, wietrzone, chronione przed mólami czekają wiernie na powrót właścicieli...

Stara wełniana chustka da się przerobić na kusą sukienkę. Z samodzielnego przyslanego przez przyjaciół ze wsi szyje się kostium świeży, elegancki, tak sztywny, że można go w czasie roboty postawić na podłodze.

Z celofanowych sznurków wyplatają barwne bluzeczki, sukieneczki dla dzieci. Stare, podarte swetry, wielokrotnie prute, przestarczają się w pończochy, rękawiczki, pilotki — z musu bajecznie kolorowe.

Od marca do listopada trzeba zrezygnować z pończoch i skarpetek. Drewniaki kryte kolorowym brezentem klepią po trotuarach, wprowadzając wakacyjny ton. Gorzej, gdy trzeba ślizgać się zimą po śniegu i zlodowaciałych drogach na tychże samych "wakacyjnych" podszwach. Drewniaki, coraz bardziej nawet ulepszone, zginające się na podbiciu, ogromnie męczą nogi i nie dają ciepła.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja odzieżowa na wsi. Miasto miało większe zapasy odzieży, na wsi ludzie posiadali najczęściej po jednym ubraniu do pracy, jednym od święta. Całe lato dzieci biegają nago. Wiew wykupuje za niesłychanie wysrubowane ceny starzyzną miejską, nie mając ze znoszonych szmat długiego pożytku przy ciężkiej pracy fizycznej. To też wiew w dużej mierze radzi sobie, fabrykując w domach samodzielną, garbując skóry, tkając wełnę.

Dużym powodzeniem cieszą się potworzone w wielkich miastach "Punkty skupu". Są to sklepy, które skupują, gdzie się da starzyzną, piorą i latają najbardziej zużyte rzeczy i odsprzedają je. Wszystkie te wysiłki są coraz trudniejsze w miarę przedłużania się wojny.

Panie w wielkich miastach mimo wszystko nie zatracają dbałości o wygląd zewnętrzny. Jest to bardzo zresztą ważne, bo dobrze ubranego człowieka mniej zaczepia policja, przywoite ubranie i pewna siebie mina zwiększają bezpieczeństwo na ulicy. Ładnie związana chusteczka zastępuje z powodzeniem kapelus, na brzoza opalone nogi — pończochy. Kwiatek i torebka z kolorowych sznurków dodaje świeżości przedwojennemu, "na trzecią stronę" nicowanemu kostiumowi.

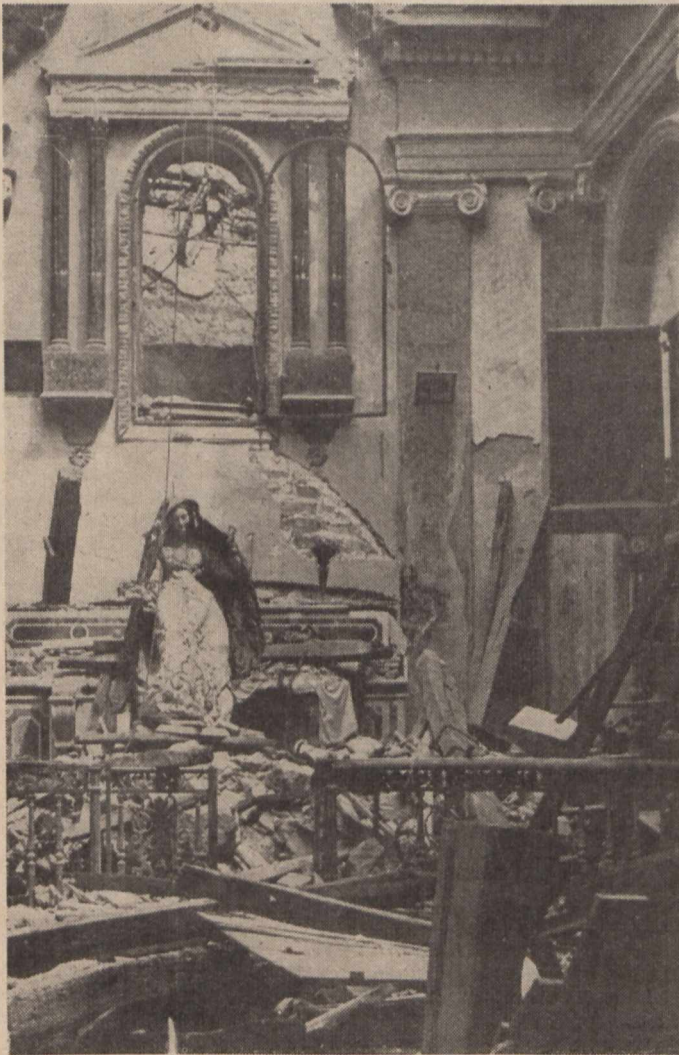
Mimo to różnica w zewnętrznym wyglądzie miast jest uderzająca. Ulica poszarzała, zubożała...

MARIA BRZESKA



# Bitwa o Piedimonte

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Kościół w Piedimonte. Figurę Marii Panny ustawili na nowo żołnierze polscy po zajęciu miasta

We Włoszech, maj 1944

Bohatera walka żołnierzy Polskiego Korpusu o twierdzę Cassino zakończyła się zwycięsko. Sztandar polski powiewa dumnie od 18 maja b.r. na Klasztorze Cassino. Jednak boje Korpusu Polskiego nie zostały zakończone. Inna część oddziałów Korpusu wślawiła się zdobywaniem zawiasu "Linii Hitlera" — fortecy, w którą Niemcy zamienili miasteczko Piedimonte.

## SYTUACJA WYJŚCIOWA

Sytuacja w dniu 19 maja była taka:

Armia niemiecka pobita na "linii Gustawa" konsolidowała się gorączkowo na potężnej, rozbudowanej od pięciu miesięcy "linii Hitlera". Korpus Polski wydusił ostatnie punkty oporu na zachodnich stokach grzbietu Monte Cassino /S. Angelo/, zeszedłszy pewnymi oddziałami na zachodnią stronę grzbietu, zdobył miasteczko Villa Santa Lucia. Miasteczko to leży tuż na przedpolu ufortyfikowanej "linii Hitlera". I tak ostatni etap wygranej bitwy, w której przełamano "linię Gustawa" zeszedł się z pierwszym dniem działania przeciw "linii Hitlera".

W rejonie Piedimonte "linia Hitlera" robi zwrot pod kątem prostym, zmieniając kierunek z południowo-zachodniego na północno-zachodni. W miejscu tego zwrotu nieprzyjaciel wybudował nowoczesną twierdzę złożoną ze stalowych i betonowych bunkrów, wpuszczonych w cement dział przeciwpancernych największych kalibrów, schronów, pułapek, min i tego wszystkiego, na co inteligencja sapera — fortyfikatora mogła się zdobyć. Miasto to mia-

ło być filarem i kotwicą linii ufortyfikowanej, na której się miał opierać opór sąsiednich odcinków.

## ZADANIE NASZYCH ODDZIAŁÓW

I wisiała ta potężna reduta nad dolinym odcinkiem sąsiada, grożąc mu wszystkimi ogniami i żądłami przeciwnatarć. Tę redutę miały związać nasze oddziały. W tym celu stworzono specjalną grupę, dowodzoną przez zastępcę dowódcy Oddziałów Pancernych ppłk. B. Grupa miała zadanie: "Działać na Piedimonte, czym osłonić północne skrzydło sąsiada".

Dowódca grupy rozwiązał zadanie po polsku, a więc — przez natarcie. W pierwszym dniu natarcia zdobyto szturmem główną linię obronną stalowych bunkrów i włamano się w miasto.

I tu zaczęło się piekło. Zebrałiśmy wszystkie ognie i te przeznaczone dla nas i te, które miały zatrzymać sąsiadów, bo oni jeszcze nie nacierali. Ogniami przeznaczonymi przeciwko sąsiadom dowódca nieprzyjacielski grał, jak swoim odwodem. W rezultacie sami walczyliśmy z potężnym odcinkiem "linii Hitlera". Ogień skierowany na nas w ciągu tych dwu dni był prawdziwym piekłem.

Mimo tego ognia, 22 maja znów uderza piechota wspierana i podprowadzana przez czołgi. Natarcie piechoty w godzinach popołudniowych wdziera się głęboko w miasteczko, opanowuje nawet częściowo główny punkt oporu — kościół. Ginie dowódca natarcia piechoty i czołgów, major T., gdy leżąc między dwoma czołgami dawał im dyspozycje. Ppor. D. wszedł do samego kościoła, lecz tu opadnięty przez przeważające siły,

bronili się 12 godzin w jednej z krucht kościelnych, by nad ranem przerwać się ze swoją garstką do własnych linii. Scena jakby wyjęta z historii oblężenia Saragossy. Bohaterowie tej sceny na pewno nie ustępowali w męstwo słynnym żołnierzom Chłopickiego, szturmującym hiszpańską twierdzę.

## SKUTKI PONAWIANYCH NATARĆ

Natarcie w tym dniu jeszcze nie zdobyło miasta-twierdzy, ale brawurą swoją oszołomiło obrońców do tego stopnia, że przeciwnik nie wykonał przygotowanych ogni flankowych przed nizinny odcinek sąsiada, nad którym tak wybitnie górował położeniem. Gdy nazajutrz sąsiad południowy — jedna z imperialnych dywizji brytyjskich — uderzył, miał on stosunkowo łatwe zadanie, ponieważ ognie flankowe, których tak się obawiał, w ogóle nie zostały położone. Przeciwnik w Piedimonte był zbyt zajęty rozpaczliwą obroną własnych stanowisk, by mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek inne zadanie, niż bronienie własnej skóry. Lojalny sąsiad, wspomniana dywizja imperialna, przysłała specjalne podziękowanie za szczególnie skuteczną osłonę i pomoc w wykonaniu jej zadania.

Artyleria przez cały czas wspierała kolejne natarcia broni pancernej i piechoty. Po uzyskaniu wiadomości od ppor. D. położyła całą potęgę swego ognia na kościół, który się zawalił. Jeden z głównych punktów oporu został w ten sposób roztrząskany. Zbiierała ona za to masę ogni nieprzyjaciela. W ciągu jednego dnia na jednym z dyonów PAL'u armijnego, naliczyliśmy siedem nawał ogni artylerii nieprzyjaciela. Ale ani na chwilę nie ucichły działa naszych artylerzystów. Wreszcie lotnictwo niemieckie wykonało nalot na te stanowiska, ale artylerzyści byli niezłomni i nieustępliwie odpowiadali strzałem na strzał, lub dwoma strzałami na jeden.

Działa przeciwpancerne na podwoziach gąsienicowych podjeżdżały metodą Bema tuż pod pozycję przeciwnika i zasypywały go morderczym ogniem z bliskiej odległości.

Taka walka trwała pięć dni, aż wreszcie w dniu 25-go maja rano, zgnieciono resztki oporu i zdobyto miasto. Zdobyto filar "linii Hitlera", na który miano działać wiążąco. Impet narodowy poniósł i zrobiliśmy więcej, niż od nas wymagano.

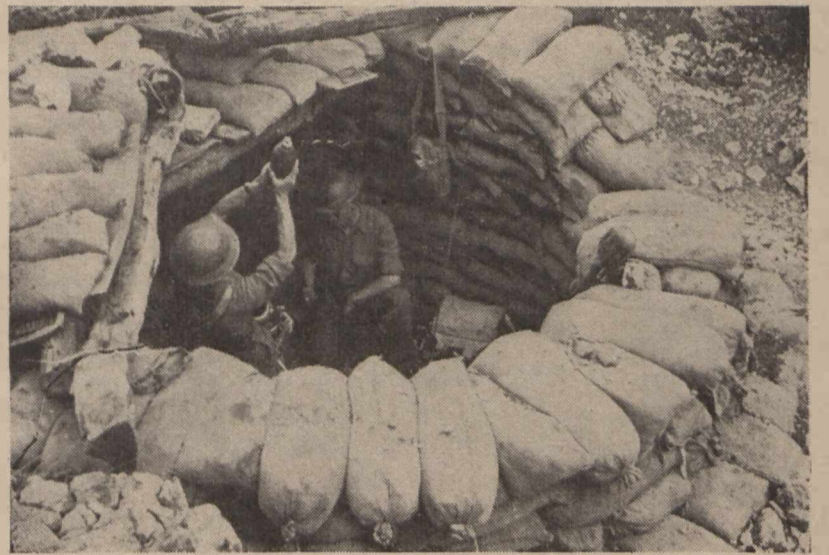
## ŻOŁNIERZE, POLE BITWY I BRON

Było to dziwne zgrupowanie. Składało się ono z oddziałów, które się nigdy nie widziały, nieraz nie wiedziały o swoim istnieniu. Oficerowie przeważnie również się nie znali. Ale wszyscy byli stopieni w jedną całość przez magię wpływu dowódcy, który świecił przykładem i był wszędzie gdzie było niebezpiecznie. Sylwetka tego dowódcy, który pieszo prowadzi swoje czołgi do natarcia, zostanie na długo w pamięci jego żołnierzy.

A jak wyglądało pole bitwy? Miasto Piedimonte, stara twierdza średniowieczna, położone jest na górze wyrastającej wprost z dolin. Na tę górę wspina się wąska szosa lukami serpentyn, tworząc tarasy stromo opadające i solidnie podmurowane przez średniowiecznych budowniczych.

Na te strome tarasy darła się z niewiarygodną zajadłością i szaleńczą odwagą nasza broń pancerna, wspierana dzielnie przez towarzyszącą piechotę. Niespotykany przypadek — czołgi szturmujące górską twierdzę. Doprawdy nie umniejszając pięknych czynów pancerniaków z "Widma" i Albanetty, ludzie z Piedimonte okryli niezmierną chwałą naszą broń pancerną. Jedni i drudzy wykuli jej tradycję.

Stoją teraz ich czołgi, szczer-niale, niektóre wypalone — wszystkie żądłami luf skierowane w stronę wroga. Leżą na bokach, stoją prawie prostopadle oparte na tylnych oporach. Chciały brać góry i wały. Chciały zrobić to czego-



Stanowisko polskich żołnierzy

nikt nie dokonał. Jeden zwał się, uderzony młotem ognia, prosto w przepaść i leży na własnej wieży grożąc swoim potwornym kadłubem.

Wydawało by się, że nadludzie chcieli wydobyć z maszyn to czego maszyna nie może dać, chcieli stworzyć nadmaszynę. Trzykrotnie kpt. Alfred K.P. darł się na potworne, nieustępliwe mury, aż znalazł śmierć bohaterską na miejscu. Zaprawdę ludzie w tych stalowych pudłach mieli żelazne serca.

## W ZDOBYTYM MIEŚCIE: BUNKRY, MINY I TRUPY

Posuwając się pod górę głębiej w miasto, słychać jeszcze strzały: to piechota wygniała ostatnie bunkry. Przypadkowo bierzemy udział w jednej z takich akcji. Rezultatem jest trzech jeńców. Wychodzą chude, brudne, nieogolone draby. Aż się nie chce wierzyć, że ci ludzie bili się tak desperacko. Ale teraz gdy zabrakło głosu feldfebla — rozkleili się. Są rozstrzęsieni ze strachu.

Trochę wyżej, już w uliczce prowadzącej do rynku pełno min. Nasi żołnierze rozbijają je właśnie, bawiąc się nimi w przystępny wisielczego humoru. Toczą nimi jak kręglami lub talerzami. Kłną straszliwie, gdy rozbrojona mina potoczy się nie do tego dołka, gdzie się je zbiera.

Załom uliczki ukazuje nam narozny dom wzniesiony tuż nad wąską ścieżką-uliczką, którą się schodziło po wodę. W fundamentach tego solidnego piętrowego domu — jeszcze jeden spory schron-bunkier. Dosłownie na 8 metrów przed strzelnicą bunkra leży zabity żołnierz polski. Historię można

łatwo odczytać w terenie. Dostał w nocy rozkaz podejścia tuż pod strzelnicę bunkra, by o świcie zasypać go granatami ręcznymi. Zrobił sobie nawet maleńki szańczyk z kamieni, jakże mizerny w porównaniu z tym potężnym bunkrem wykutym w litej skale i osłoniętym stalową kratownicą strzelnicy.

Leży tam żołnierz twarzą do nieprzyjaciela, tak jak umierali jego ojcowie, i tak jak umarli wszyscy jego towarzysze z poprzedniej bitwy. Ręka żołnierza jest jeszcze odchylna, tak jak po wyrzuceniu granatu. Kłęczy ten zmarły żołnierz, ale jest dziwnie przechylny w tył w leżdziach, jakby go siła uderzenia pocisku lub podmuch wystrzału prosto w twarz, przechylił, ale nie zdołał wywrócić. Oczy poległego są skierowane w niebo, już rozmawiają ze Stwórcą, którego dziełem było jego młode życie. Ale wyraz mają te oczy jeszcze ziemski — straszny, taki, jakim wpatrywały się w śmiertelnego wroga jego narodu.

Ten żołnierz o nieznanym nazwisku, to na pewno bohater tej bitwy. Leżą inni, na boku, na twarzy, skurczeni dziwnie. Mają smoki, świerki, żubry i syreny. Cały Korpus był tu reprezentowany. A oni reprezentowali swoją Ojczyznę, która choć umęczona, żelazną pięścią rozwala szanice wroga.

Gdy po wielu latach w spokojnej Ojczyźnie odbędzie się kiedyś zjazd pułkowych pocztów sztandarowych, to sztandary z napisem Cassino-Piedimonte winny maszerować w jednym z najpierwszych szeregów.

PRZEMYSŁAW WEISS

Karabin maszynowy zdobyty na Niemcach



Rozbitny bunkier niemiecki

